

MIARA DYMNA

Z Anną DYMNA, aktorką
rozmawia Danuta NOWICKA.

- Jeszcze pani nie fruwa? A przecież Kazimierz Kutz powiedział: „Podejrzewam, że ona jest święta i wkrótce urosną jej skrzydła”...

- Kazio Kutz, który jest moim ukochanym reżyserem i najwięcej mi w życiu pomógł, zawsze się ze mnie śmieje i żartuje: - Oj, Aniu, ty jesteś taka nasza Maria Magdalena, tu aktorka - rozpuśtne zajęcie, a tu zakusy na święta. A gdybyś żyła w innych czasach, pewno byłabyś apostołem.

- Życzliwie pokpiwa z tego, co robi pani poza sceną.

- Coś pani powiem: jestem aktorką, mam 53 lata, gram mniej, bo tak musi być, proszę spojrzeć choćby na dramaty Szekspira i Czechowa, ile tam ról dla dziewczyn, ile dla facetów, ile dla starszych kobiet. Dla mnie to jednak nie jest żaden dramat. Dzięki temu, że mam więcej czasu, mogę robić inne rzeczy, nie mniej ważne.

- Nie lubi pani, kiedy się mówi „działalność charytatywna”, ale jak inaczej nazwać to wszystko, co robi pani dla niepełnosprawnych mieszkańców schroniska św. Brata Alberta w Radwanowicach, udział w niezliczonych kwestach, założenie fundacji „Mimo wszystko”, prowadzenie telewizyjnego programu „Spotkajmy się”?

- To nie znaczy, że robię coś wielkiego. Po prostu mogę się na coś przydać i to mnie cieszy. Staram się być choć trochę podobna do mamy, która stale mi przypominała, że człowiek nie jest na świecie sam, że obok są inni ludzie. Że jeśli ktoś leży, trze-

ba go spytać, czy mu tak wygodnie, czy się przypadkiem nie przewrócił.

- Została pani obsypana nagrodami: Orderem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, Orderem Uśmiechu, Medalem św. Brata Alberta...

- To są moje największe skarby i prawdziwa radość. Od czego to wszystko się zaczęło... My, aktorzy, jesteśmy publicznymi ludźmi. Widzowie piszą do nas listy w przekonaniu, że możemy odmienić ich nędzne życie. Może dlatego, że grałam sympatyczne role - Barbarę Radziwiłłówną, Marysię Wilczurówną, postacie dobre, szlachetne, ciepłe, w

Staram się być choć trochę podobna do mamy, która stale mi przypominała, że człowiek nie jest na świecie sam, że obok są inni ludzie. Że jeśli ktoś leży, trzeba go spytać, czy mu tak wygodnie, czy się przypadkiem nie przewrócił.

które starałam się włożyć wszystkie siły i uczucia - teraz niektórzy ufają mi i proszą o pomoc.

- Począwszy od księdza Tadeusza Zaleskiego?

- Zgłosił się do mnie jakieś pięć lat temu. Poprzez swoją rodzinę, którą co chwilę zalewał, kiedy mieszkaliśmy nad nimi, zapytał, czy nie zechciałabym przewodniczyć jury festiwalu

twórczości teatralno-muzycznej niepełnosprawnych w Radwanowicach, gdzie prowadzi ogromne schronisko Brata Alberta. Bałam się tego jak ognia, ale jak tu odmówić. Pojechałam. Przeżyłam szok, poczułam się jak na innej planecie, otoczona setkami ludzi, którzy bełkotali, krzykali, mówili wszyscy naraz i okropnie mnie ściskali. Poczułam nagle, że mnie lubią, ufają mi, że jestem im potrzebna. Kiedy wyjeżdżałam, głowa pękała mi z bólu, ale coś mnie do nich ciągnęło. Teraz już wiem co. W tych ludziach jest zakodowany wzór prawości i uczciwości. Umy-

sły mają może zredukowane, ale serca czyste, podczas gdy my dzięki wspaniałym, wyrafinowanym umysłom potrafimy kombinować, ale boimy się uczuć. Zauważyłam, że ze swojego mądrego i pięknego świata artystycznego uciekałam do niepełnosprawnych po odrobinę normalności. Pomagałam terapeutkom prowadzić teatryk. A kiedy dostałam medal, pomyślałam - tak nie może być, przecież muszę na niego naprawdę zapracować. Zorganizowałam ogólnopolski festiwal teatralno-muzyczny dla osób niepełnosprawnych, Albertiana.

- Potem wkroczyła telewizja...

- W Europejskim Roku Osób Niepełnosprawnych chciała zrobić program, który zbliżyłby świat ludzi chorych i pokrzywdzonych przez los z codziennością i światem ludzi zdrowych. Nina Terentiew i Ania Wójcik wiedziały, że obaliłam już w sobie wszelkie bariery i nie boję się inności, bólu i umierania. Zaufały mi i dały szansę. Razem z Mateuszem Dziedu-szyckim wymyśliliśmy cały program.

Pomysł jest prosty i trudny. Siedzę na przeciw chorego, niepełnosprawnego człowieka i z nim rozmawiam. Nie znam się na niczym, nie jestem przecież psychologiem ani lekarzem, ani terapeutą.



Anna Dymna w Starym Teatrze podczas jubileuszu 30-lecia pracy artystycznej.

Po prostu rozmawiam z człowiekiem, którego mi czasem żal, czasem się z nim boję rozmawiać, czasem nie wytrzymuję i płaczę, ale naprawdę chcę się dowiedzieć, jak w jego sytuacji można żyć, skąd bierze tyle siły i radości, gdzie dostrzega sens swojego życia, o czym marzy... Nie wstydę się zadawać głupich pytań. Otrzymuje w zamian niezwykle odpowiedzi. I mój świat staje się dzięki nim piękniejszy.

- Dzięki tym spotkaniom zyskała pani jeszcze więcej sympatyków...

- Nie wiem, ale zaczęły się telefony: - Pani Aniu, mam 30 tysięcy, chcę je dać pani, bo pani będzie wiedziała komu pomóc. Mówię: - Ale ja nie mam osobowości prawnej. Pierwsze pieniądze dałam Adasiowi z Opola, którego poznałam w Rep-tach. Pomogłam zrobić mu winę, ale pieniądze musiałam przekazać do Towarzystwa Walki z Kalectwem. Wiele osób zaczęło radzić: - Niechżeż pani założy fundację, będzie pani mądrzej pomagała. Pewno bym się na to nie zdecydowała, gdyby nie fakt, że po nowelizacji ustawy w domu opieki społecznej w Radwanowicach 26 osobom odebrano prawo do korzystania z warsztatów terapeutycznych. A one są jedynym sen-

sem ich życia. Po powołaniu fundacji założyłam dla nich Warsztaty Terapii Artystycznej. Nie zauważyli nawet, że ktoś chciał ich wyrzucić na obrzeża życia.

- Jak wytrzymuje pani to nagromadzenie nieszczęścia wokół siebie? Te bliskie kontakty ze skrajną ludzką biedą?

- Powiem pani dziwną rzecz. Czasem, w trakcie nagrań do programu „Spotkajmy się”, płaczę, wydaje mi się, że nie dam rady unieść tych cierpień i nieszczęść, które odsłaniają przede mną moi niezwykli goście. Muszę przecież o sobie zapomnieć i być w pewnym sensie medium rozmówcy. Muszę wczuć się w jego sytuację. Przysięgam, nie jestem egzaltowana, ale kiedy rozmawiam z człowiekiem całe życie sparaliżowanym, ogarnia mnie paraliż, a kiedy mam do czynienia z umierającym na raka

krwi, wydaje mi się, że też mam tego raka. Na szczęście jest zawsze przy mnie Mateusz, bez którego na pewno nie dałabym sobie rady, jest świetna, wyrozumiała ekipa, która pomaga skupieniem i fachowością. Chorzy mówią nieraz tak okrutne rzeczy, że nie śpię wiele nocy. Ale czy wie pani, co mi powiedział człowiek po przeszczepach, który umiera na raka krwi? Że walka o życie każdego dnia ma w sobie coś tak fascynującego, że jego trwanie nabiera przez to jakiejś ogromnej wartości. Zastanawiam się często, dlaczego się rodzą kalekie dzieci. Potem patrzę, jak zbudowany jest świat, jak mrówka zaszuwa w mrowisku, jakie to wszystko mądre i dochodzę do wniosku, że i cierpienie nie może być pozbawione sensu. Mojej mamie, która przez pół roku umierała w szpitalu, mówiłam - „Mamus, jesteś wybrańcem. Pan Bóg Cię wybrał, żebyś cierpiała”, bo jestem przekonana, że są

ludzie wybrani do cierpienia. To, co oni przeżywają, musi być komuś potrzebne, bo gdyby było niepotrzebne, byłoby tak okrutne, że wszystko nie miałoby sensu.

- Zastanawiam się, czy Krakowski Salon Poezji nie był dla pani czymś w rodzaju antidotum na wszystkie te traumatyczne doświadczenia?

- Salon powstał wcześniej. To było dwa lata temu. Nie mogłam spać, włączyłam telewizor i zobaczyłam dziwną scenę: jakaś kobieta usuwała sobie brud spod paznokci palców, potem malowała paznokcie, przyszedł facet, włożył do łazienki, spuścił wodę, wyszedł, powiedział: - Zrób mi, kurwa, jajecznicę. Ona na to: - Teraz ci się chce, w nocy? Zorientowałam się, że oglądam reality show czy coś takiego. Myślę sobie - Boże święty, i ludzie, miliony ludzi to oglądają? Zasnęłam. Śniło mi się, że jestem zamknięta w okrągłej sali ze ścianami najeżonymi kamerami. Te wszystkie kamery terkotały i były skierowane na mnie. Strasznie zdenerwowana, nie wiedziałam, co robić, usiadłam w fotelu, który się nagle pojawił - wzięłam do ręki sonety Szekspira, zaczęłam czytać. I się uspokoiłam. Obudziłam się rano, mówię do męża, który jest dyrektorem Teatru Słowackiego: - Masz taką piękną salę w foyer, nie można by tam czasami wejść i poczytać wiersze? Ktoś by czytał, ktoś inny przyszedłby posłuchać. Potem rozmawiałam z kolegami ze Starego Teatru. Ania Polony mówi: - Słuchaj, to świetny pomysł. Ja bym poczytała Szymborską. Treła mówi: - Ja Mickiewicza. Ktoś inny: - A ja Wyspiańskiego. Nagle się okazało, że wszyscy mają potrzebę poczytania, bo tak rzadko mamy taką szansę.

- Obeszło się bez kosztów?

- Oczywiście była sprawa pieniędzy, bo w Salonie wszystko jest za darmo - wejście, kawa i ciasteczka i najwspanialsza poezja w najlepszym wykonaniu. Pieniądze załatwiłam w taki sposób, że dostałam z Izby Przemysłowo-Handlowej adresy i zaczęłam dzwonić. Z czasem pojawili się mniejsi i więksi, i główni sponsorzy.

- Na setnym Salonie pojawiła się sama Szymborska. Teraz inne miasta upominają się o czytanie poezji.

- Tak, mamy już „dzieci” w Gdańsku, Częstochowie, Tarnowie, Tczewie i, od kilku dni, w Opolu, czeka Szczecin, Koszalin, Wrocław, Londyn, Lwów... Zaraza poezji opanowuje Polskę i chce wyjść poza granice.

- Jak pani to robi, że w kolejce do Salonu ustawia się aktorska elita? Że w Krakowie wiersze czytali już Englert, Seniuk, Holoubek, Seweryn i wielu, wielu innych?

- Po prostu do nich dzwonię i delikatnie pytam, czy nie chcieliby się z nami w to zabawić. Chcesz przyjechać, to przyjeżdż, nie chcesz, nie ma sprawy. Wie pani, że na 160 aktorów odmówiły mi tylko dwie osoby?

- W czasach, kiedy poezja uchodzi za zbędny towar...

- Salony są tego zaprzeczeniem. Ba, okazuje się, że to, co niby najważniejsze, pieniądze, niewiele znaczy, a nowi bogowie polskiego kapitalizmu nie są żadnymi bogami. Znam ludzi, którzy byli ubodzy i chciało im się żyć, a teraz, kiedy mają szmal, wzajemnie się nienawidzą, pobili się o majątki, o jeszcze jedno auto, rozpiłi się i nie wiedzą właściwie po co to wszystko. Mówię im: - Wiesz co? Przyjdź rano w niedzielę, posłuchaj, może ci się spodoba. Niektórzy przychodzą i potem słyszę: - Wiesz, to dziwne, masz rację, to jest jak oddech.

- Można jednak pomyśleć, że zarówno działalność na rzecz niepełnosprawnych i chorych, jak i salony są dla uznanej i rozchwytywanej niegdyś aktorki wartością zastępczą...

- Wszyscy mi to wmawiają, dokuczają: - Nie grasz, to może dlatego? A ja nie wiem. Gdybym więcej grała, pewno też bym to robiła. Ja naprawdę też jestem człowiekiem, nie tylko aktorką. Dawno mierzę wszystko dymną miarą i sama płacę za swoje decyzje. Proponowano mi udział w serialu, pięćset odcinków. Gdybym się zdecydowała, byłabym bogata, ale rola mi się nie podobala i mnie to nie interesuje, jako człowieka i jako aktorki. Wolę w tym czasie wybudować pod Krakowem

warsztaty terapeutyczne dla niepełnosprawnych.

- Nie skazuje się pani w ten sposób na zawodowy niebyt?

- Proszę posłuchać: fundację powołałam, teraz otwieram oddział młodych „Nie damy się mimo wszystko”. To inicjatywa studentów. Ich kolega umarł na raka, nie zdążyli mu pomóc, choć zrobili wszystko, by go ratować. Teraz chcą pomagać szybciej i mądrzej, i ja im użyczam w tym celu swojej fundacji. Mam prawników, już jestem „pożytek publiczny” i każdy obywatel ma prawo zamiast państwu dać mi jeden procent podatku. Jeśli ludzie mi zaufają, będę mogła pomagać bardzo, bardzo wielu. Siedzę po nocach, piszę pisma, wymyślam wiele rzeczy, by ratować in-

nych. I zarażam innych. Mam już wspaniałych pracowników, teraz otoczą mnie studenci... Nie chcę być kombatantem. To, że kiedyś grałam piękne role, zamieniam na inną wartość. Oczywiście to przykre, że trzeba trochę zapomnieć o sobie, ale i sprytnie, bo dzięki temu nie będę się czuła odrzucona i nie będę myślała, że żyję po nic. Może to tylko spryt... Poza tym, czy kiedykolwiek mówiłam, że rezygnuję z zawodu? Kiedy? Mam bardzo interesujące propozycje i może jeszcze coś pięknego zagram. Siły wciąż mnie nie opuszczają, choć zdarza się, że padam ze zmęczenia. A wracając do pani pierwszego pytania: naprawdę nie jestem aniołem. Czasami wychodzi ze mnie potwór i po prostu robi swoje.

Zastanawiam się często, dlaczego się rodzą kalekie dzieci. Potem patrzę, jak zbudowany jest świat, jak mrówka zaszuwa w mrowisku, jakie to wszystko mądre i dochodzę do wniosku, że i cierpienie nie może być pozbawione sensu. Mojej mamie, która przez pół roku umierała w szpitalu, mówiłam „Mamus, jesteś wybrańcem. Pan Bóg Cię wybrał, żebyś cierpiała”, bo jestem przekonana, że są ludzie wybrani do cierpienia.